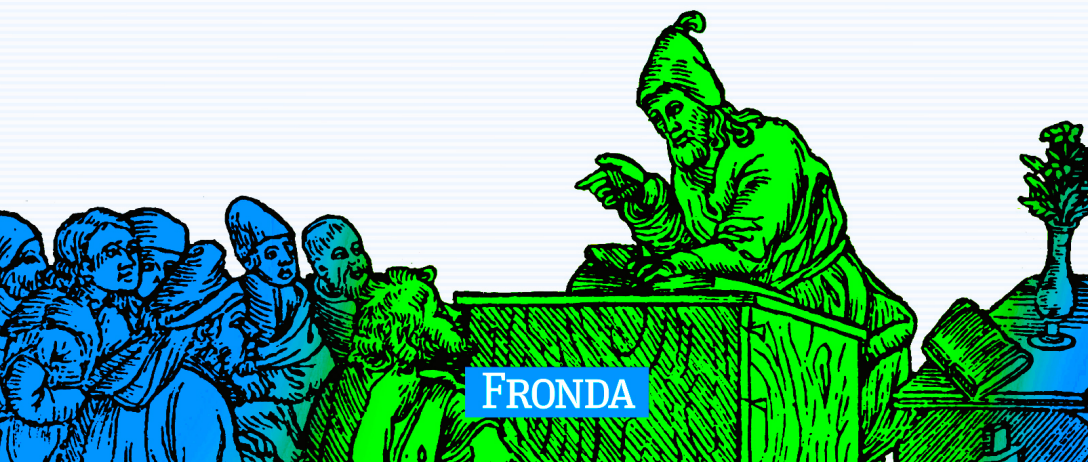




G.K. Chesterton

OBRONA ROZUMU



W SERII
FIDES & RATIO

DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ:

G.K. Chesterton, ORTODOKSJA

G.K. Chesterton, WIEKUISTY CZŁOWIEK

G.K. Chesterton, HERETYCY

Jacques Maritain, TRZEJ REFORMATORY

Ronald A. Knox, UKRYTY STRUMIEŃ

Jacques Maritain, NAUKA I MĄDROŚĆ

Jean Daniélou, ANIOŁOWIE I ICH MISJA

Dietrich von Hildebrand, KOŃ TROJAŃSKI W MIEŚCIE BOGA

Dietrich von Hildebrand, SPUSTOSZONA WINNICA

Karl Adam, JEZUS CHRYSZTUS

Jacques Maritain, RELIGIA I KULTURA

G.K. Chesterton, OBRONA CZŁOWIEKA - WYBÓR PUBLICYSTYKI

G.K. Chesterton, OBRONA ŚWIATA - WYBÓR PUBLICYSTYKI

G.K. Chesterton, OBRONA WIARY - WYBÓR PUBLICYSTYKI

G.K. Chesterton, DLA SPRAWY

Joseph de Maistre, O PAPIEŻU

W PRZYGOTOWANIU:

G.K. Chesterton, ŹRÓDŁO I MIELIZNY

G.K. Chesterton

OBRONA ROZUMU

WYBÓR PUBLICYSTYKI
(1930-1936 oraz wydania późniejsze)

przełożyła
JAGA RYDZEWSKA

FRONDA

[Kup książkę](#)

Projekt okładki opracowanie typograficzne i łamanie:
JAN ZIELIŃSKI

Korekta:
IWONA ZIELIŃSKA

Copyright © for the Polish translation by Jaga Rydzewska, Warszawa 2014
Copyright © for the Polish edition by Fronda PL, Warszawa 2014

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

ISBN 978-83-64095-43-6

Wydawca:
FRONDA PL SP. Z O. O.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. 22 836 54 44, 22 877 37 35
fax: 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/Frondawydawnictwo

Druk i oprawa
Drukarnia im. A. Półtawskiego
ul. Krakowska 62
25-701 Kielce
tel. 41 349 50 49

IDEAŁ JAKO BŁĄD

Każdy człowiek sumienny i odpowiedzialny z pewnością zaczął już odczuwać coś w rodzaju zawziętej niechęci wobec ideałów. Słowo „ideał”, tak jak jest obecnie rozumiane, oznacza mętny stan umysłu, ani teoretyczny, ani praktyczny. Żaden ideał nie jest bowiem wystarczająco precyzyjny na potrzeby teorii, ani wystarczająco ludzki na potrzeby praktyki. Oczywiście, nie da się zaprzeczyć, że słowo to czasem bywa odpowiednie; i z początku używano go tylko wtedy, kiedy było odpowiednie, czyli bardzo rzadko – co mówi samo za siebie.

„Ideał”, w potocznym tego słowa znaczeniu, na pewno nie zalicza się do pojęć tradycyjnych. Nigdy nie należał do powszechnej tradycji moralnej czy religijnej. Ludowa religia pogan nie wierzyła w ideały, lecz w idole, zwane też bożkami, z którymi było dużo więcej zabawy. Filozofia pogan nie знаła ideałów, lecz idee, z którymi było dużo więcej zachodu. My, niestety, żyjemy w czasach, kiedy do ideałów przywiązuje się znaczenie prawie odwrotnie proporcjonalne niż do idei. Ilekroć widzimy nadętego polityka, pretensjonalną sztukę albo kliwiy film; ilekroć czytamy sensacje

w sosie sentymentalnym, jakie serwuje nam prasa popularna, lub ociekające przemądrzałym wodolejstwem artykuły w pismach opiniotwórczych; ilekroć słyszymy kazanie po brzegi pełne tolerancji i otwartości, za to pozbawione szczerotkowych śladów rozumu, albo kolejne kabotyńskie przesłanie do świata, zapewne sławiące pokój; ilekroć po raz enty trafiamy na jakiś dowód koniunktury gospodarczej w postaci wulgarnego sloganu – krótko mówiąc, ilekroć stykamy się z głównymi przejawami naszej dzisiejszej cywilizacji, odkrywamy, że mają one dwie niezmiennie cechy: są wyprane z wszelkiej idei, lecz zachłannie pożądają ideałów. Ideał stał się substytutem idei dla ludzi, którzy po zaliczeniu przymusowego oświecenia i obowiązkowej nauki szkolnej nie mają nawet najbłedszego pojęcia, czym w ogóle jest idea.

Gdy przyjrzeć się dokładniej, religijne i moralne obiekcje przeciw ideałom okazują się w gruncie rzeczy praktyczne i życiowe. Rzućmy więc nieco światła na złowrogie, przewrotne i iście diaboliczne metody, jakich używają ideały w swej kreacji robocie.

Nasi ojcowie rozumieli koncepcję doktryny – było to coś, w co wierzyli lub nie. Rozumieli również koncepcję obowiązku – spełniali go lub nie, ale wiedzieli, że jest to coś, co należy spełniać niezwłocznie i rzetelnie. A teraz popatrzmy, jak ośli zgły, krętacki ideał wciska się pomiędzy te dwie frapujące koncepcje i zaczyna je podstępnie podgryzać.

Nikt nie oczekuje, że człowiek uwierzy w ideał tak jak ma wierzyć w doktrynę, czyli tak jak się wierzy w coś, co istnieje

naprawdę. Przeciwnie, zdaniem wielu dzisiejszych idealistów ideał nosi swą nazwę wyłącznie dlatego, że z całą pewnością nie istnieje. W najlepszym razie pozostaje w sferze możliwości; na ogół stanowi tylko abstrakcyjny wzorzec porównawczy. Im mniej jest realny, tym bardziej jest idealny.

Jest też w ideale coś, co rozmiękcza i rozmywa koncepcję obowiązku, tak niegdyś wyrazistą i energiczną. Jeśli dom staje w płomieniach, człowiek ma obowiązek ratować całą swą rodzinę, włącznie z okropną ciotką Matyldą. Nikt jednak nie powie, że ratowanie ciotki Matyldy stanowi ideał; że bezpieczeństwo ciotuni samo w sobie jest piękną wizją, snem na jawie, którym można się upajać i zachwycać. Ideał nie zawraca sobie głowy konkretnymi sprawami, takimi jak domy, rodziny i ciotki. Ideał oznacza tylko marzenie, że pewnego pięknego dnia dom stanie się domem idealnym, domem z powieści umoralniających i czytanek dydaktycznych, i wszyscy w nim będą zachowywać się idealnie – lecz nastąpi to dopiero, gdy ów piękny dzień zaświta. Taki idealizm z samej swojej natury odkłada spełnianie obowiązków w nieokreśloną przyszłość, utożsamiając to od idealnych warunków społecznych, które kiedyś może i nastaną, choć większość z nas liczy, że aż tak źle przecież nie będzie. Zamiast traktować etykę jak dom, który stanął w ogniu, idealista zmienia ją w precudny zamek na lodzie; w dom, który (mamy nadzieję) kiedyś może zdołamy zbudować lub ewentualnie, jeśli mniej nas ponosi twórcza wena, zakupić.

Nie każdy zdaje sobie sprawę, w jak ogromnym stopniu postęp jest tak naprawdę odstępem. Postęp wcale nie oznacza, że maszerujemy naprzód, w stronę świata idealnego. Postęp oznacza, że to świat idealny ciągle wysuwa się daleko na prowadzenie, zwiększając odstęp między sobą a nami, a my ciągle wiemy, że sporo jeszcze czasu upłynie, zanim zdołamy go doścignąć. Słowo „jutro” ma wiele konotacji, i może równie dobrze sugerować nadzieję na lepsze jutro, jak wieczne odkładanie czegoś do jutra.

W dawnych czasach ludzie uważali, że przyszła etyka nie będzie się różnić od terażniejszej, toteż czuli jej bieżący i bezustanny napór. Wiedzieli, że chciwość jest zła, że uciskanie biednych jest złe; i wiedzieli o tym nawet gdy sami chcieli to robić; nawet gdy sami to robili. W naszych czasach istnieje realna groźba, że ludzie uznają etykę za rzecz, owszem, dobrą, ale w przyszłości, w szczęśliwszym społeczeństwie, kiedy nikt już nie będzie czuł pokusy, by kogokolwiek uciskać. W tym sensie człowiek, który pazernie gromadzi pieniądze, przypomina łakomego chłopca, który wypycha sobie kieszenie, gromadząc paczki cukierków, bo cynicznie kalkuluje, że kiedy dorośnie, cukierki przestaną mu już tak smakować. Iluż kapitalistów wyznaje dzisiaj, że w głębi serca są komunistami! A w gruncie rzeczy są po prostu idealistami: cierpliwymi, pełnymi nadziei, filozoficznymi idealistami. Łaska wie godzą się posiadać milionowe majątki, dopóki nie nadejdzie rewolucja. Wówczas zaś, jak sobie wyobrażają, zmienia się w komisarzy ludowych, choć bardziej prawdopodobne, że w trupy.

I tak oto ideał – ta fałszywa idea, ten pogański bożek – wysysa siły z obu sfer, w których pracuje ludzki umysł: ze sfery nauki i filozofii oraz ze sfery praktycznych społecznych zastosowań. Zamiast dawnego twierdzenia: „Wierzę, że to prawda”, wprowadza coś, co brzmi raczej: „Chciałbym, żeby to była prawda”. Zamiast słów: „To mój obowiązek”, wprowadza słowa: „W idealnym świecie dałoby się to zrobić”. Gnieździ się w paśmie ziemi niczyjej, między emocjami a rozumem, gdzie ukrywa się przed zdrowym rozsądkiem, zarówno tym, który widać w kosmosie, jak i tym, który widać w powszechnej ludzkiej moralności. Odsuwa przyczyny i racje daleko, w nieznaną przeszłość, a zdrowe, rozumne zachowanie – daleko, w nieznaną przyszłość. To niebezpieczny stan umysłu, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy koniecznie i pilnie musimy podjąć decyzję, czy wierzymy albo nie wierzymy w pewne idee, coraz bardziej zagrożone, takie jak prywatna własność, małżeństwo, religia lub prawo jednostki do wolności.

Świetnie wiem, że w pewnym sensie wszystko, co napisałem to nonsens. Można używać słowa „ideał” w znaczeniu najzupełniej racjonalnym. Ba, sam mogę go tak użyć choćby jutro albo w dowolnej chwili, bo jest to znaczenie prawdziwe. Jest bowiem prawdą, że mamy poczucie duchowych możliwości wykraczających poza wszelką niezbędną przeciętność, że są nadzieje, które wszyscy możemy żywić, ale nikt nie zdoła wymusić ich spełnienia, że są rady, takie jak rady zawarte w Ewangelii, które nie są przykazaniami, ale wiodą ku duchowej perfekcji. Lecz niestety,

nie w tym znaczeniu słowo to jest używane w czasach naszej rozluźnionej, a mimo to ślamazarnej moralności. W potocznym sensie oznacza ono, że człowiek ma drugą, nierealną osobowość, kompletnie różną od realnej, i nieważne, jaka jest ta realna, grunt, żeby ta nierealna była idealna. Nie dałoby się w ten sposób zafałszować dawnych pojęć honoru i obowiązku.

Toteż świat nowoczesny czym prędzej się postarał, żeby rozpowszechnić to mgliste pojęcie, ten przybliżony niemiecki przekład z kiepskiej greki. W imię ideału ludzie tolerują dziś najstraszniejsze rzeczy, które mają kiedyś doprowadzić do rzeczy najwspanialszych. Niektórzy tak się przejęli myślą, że będą lepsi, że stają się gorsi niż kiedykolwiek dotąd. Wolno im teraz zamieniać się w bestie, bo przecież wkrótce staną się jak bogowie.



ZWIERZĘ W CZŁOWIEKU

Najgorszy praktyczny skutek, jaki przyniosło spopularyzowanie teorii ewolucji, polega na tym, że w miejsce diabła ewolucjonizm postawił zwierzę. Nauczył nas myśleć, że wróg, z którym powinniśmy walczyć, to tak zwane „zwierzęce popędy” – czyli zwyczajne dążenie do przyjemności, samo w sobie całkiem niewinne.

Tennyson, na przykład, widział postęp moralny jako „marsz w górę i wyrugowanie zwierzęcia, które w nas tkwi”. Ale czy miał rację? Dlaczego mielibyśmy rugować zwierzę? Ja na przykład nie mam najmniejszej ochoty rugować z siebie zwierzęcia, tak jak nie zamierzam wyrugować innego zwierzęcia spośród lejców dorożki. Zwierzę we mnie i zwierzę w dorożce musi być trzymane w miarę krótko. Zwierzę we mnie i zwierzę w dorożce jest ewidentnie pożyteczne. To, co jest w nas złe, wbrew opiniiom ewolucjonistów, to wcale nie zwierzę. To diabeł – ten surowy, intelektualnie dziewiczy diabeł ze średniowiecznej opowieści. On gotów jest cierpieć w imię zła. W imię zła gotów jest do heroicznych czynów.

Świnie nie są przeżarte moralną zgnilizną. Tygrysy nie hordują w duszach pychy. Wieloryby nie rozciągają warg w sztyderym grymasie. Krokodyły (wbrew miłej legendzie) nie leją krokodylich łez i nie są ani trochę obłudne. Patrząc na ich zewnętrzzną powłokę trudno w ogóle pojąć, jakim cudem ktokolwiek mógłby je o to posądzać, bo hipokryzja wymaga pewnej umysłowej giętkości i energii. Najgorsze grzechy to grzechy czyściej ludzkie. Możemy maszerować w górę, rugując z siebie zwierzę, i ani trochę tych cech nie osłabić. Ba, możemy je wręcz nasilić. Im mniej w człowieku zwierzęcia, tym więcej może być zła.



„WSZYSTKIE DZIECI SĄ NASZE”

Gazety doniosły niedawno o spotkaniu grupy pań, znanych z działalności politycznej i charytatywnej. Panie zebrały się, aby przedyskutować wielki nowoczesny problem: Co zrobić z dziećmi. Nie trzeba nawet mówić, że podczas takich konferencji rozprawia się o dzieciach, jakby były to olbrzymie monstra o niepojętej naturze, które ostatnimi czasy wypełzły skądś znieznacka w charakterze kompletnej nowości i niespodzianki. Dziecko, tak jak je postrzegają ci ludzie, nie jest dzieckiem, jakie normalny człowiek widział kiedykolwiek na oczy. Nie jest to Jacek, Joasia ani Piotrek, nie jest to żadne z dzieci kuzynki Elżbiety ani wuja Ryszarda. Jest to stworzenie całkowicie samotnicze, wyrosłe znikąd, *sui generis*, a żyje ci ono pośród nędzy i zbrodni. Pewna wybitna działaczka polityczna, głęboko przekonana, że reprezentuje najwznioślejszy, najświatlejszy idealizm, oznajmiła przy tej okazji: „Musimy troszczyć się o dzieci ci innych ludzi tak, jakby były nasze”.

Ledwie to przeczytałem, uderzyłem dłonią w stół, jak czyni człowiek, który nagle zlokalizował i utłukł osę. Powiedziałem

sobie: „Otóż to! Trafiła w sedno! Krótko i zwięźle ujęła najgorszą, najbardziej toksyczną ze wszystkich politycznych bredni, które sprawiają, że świat gnije dziś od środka. To właśnie ta brednia przeżarła i wykoślawiła demokrację, zrujnowała życie rodzinne jak demokracja długa i szeroka, zniszczyła godność, na której demokracja i życie rodzinne wspierały się jak na fundamencie. To ona sprawiła, że niezamożnemu mężczyźnie zabrano dumę i honor, jakie odczuwał niegdyś, będąc głową rodziny. Wskutek tego niezamożny mężczyzna nie potrafi odczuwać dumy i honoru z faktu, że jest obywatelem, a już kompletnie go nie wzrusza, że jest jakimś tam wyborcą. Dom Anglika przestał być jego twierdzą; on sam przestał być panem twierdzy; żaden Tomek nie jest już wolny w swoim domku, jego dzieci nie należą do niego, a demokracja umarła. Ta pani tego nie rozumie. Ona chce dobrze. Ona nawet nie wie, co mówi. Nie dociera do niej sens tych przerażających słów, które wypowiada. Ale przecież je wypowiada, choć jej słowa oznaczają: My, ludzie bogaci, możemy zaopiekować się ubogimi dziećmi zupełnie jakby były nasze. Ponieważ obaliliśmy instytucję rodziców, one i tak są sierotami”.

Oczywiście znamy ten ideał nie od dziś. Jest śliczny, gładki i nie miałbym nic przeciwko niemu, gdyby nie ten drobny szkopuł, że jest to ideał kompletnie, odrażająco niemoralny. Ktoś, kto twierdzi, że będzie traktował dzieci innych ludzi tak, jakby każde było jego własnym dzieckiem, przypomina człowieka, który oznajmia, że będzie traktował żony innych ludzi tak,

jakby każda była jego własną żoną. Pytanie tylko, jak to się ma do praw owych innych ludzi. Bądź co bądź, wciąż jeszcze ponoszą oni odpowiedzialność za dobro własnych dzieci i własnych żon. Czy pozostają im w tej sytuacji jakiekolwiek ludzkie uprawnienia wobec nich?

Jeśli ojciec maltretuje dzieci, albo mąż żonę, jest absolutnie słuszne, żeby go ukarać, wprowadzając w ruch machinę prawną, przewidzianą dla takich wyjątkowych i niegodziwych wypadków. Ale żadna znana moralność ludzka nie uprawnia nas do twierdzenia, że jego dzieci należą do nas tak samo jak do niego. Cokolwiek mu zarzucamy, trzeba to udowodnić. Niestety, owym działaczkom dobroczynnym wcale nie chodzi o konkretne wypadki złego traktowania dziecka. Im chodzi o zasadę – podskórną, plutokratyczną zasadę, ujawnioną niechcący w przypadkowym zdaniu. Dzieci mają się rodzić pod władzą i opieką warstwy panującej – i ma to być status dziedziczny, obojętnie czy sumienie każe nam go nazwać ochroną, czy może formą niewolnictwa. Zauważmy, że owa pani wcale nie mówi: „Kiedy słyszę o dziecku, które było bite metalowym prętem, zwykłe poczucie ludzkiej solidarności sprawia, że czuję taki gniew, jakby chodziło o moje własne dziecko”. Nie wątpię, że mogłaby coś takiego powiedzieć. Ale jej wcale nie chodzi o takie wyjątkowe, drastyczne sytuacje. Nie chodzi jej w ogóle o żadne indywidualne nieszcześcia. Ona już na wstępie uogólnia, od samego początku zakładając, że ma władzę decydowania o losie innych dzieci tak, jakby były jej własne. Rzeczywiście, w praktyce

ma taką władzę. I ta właśnie praktyka stanowi najlepszy, najjaskrawszy dowód, że całe założenie jest z gruntu błędne. Powtarzając, że wszystkie dzieci są nasze, społeczeństwo nieświadomie i bez oporu wyznaje, że wierzy w potężną, antyludzką herezję. Z umysłów dzisiejszych realistów znikła bez śladu idea, że ojciec rodziny, jak każdy obywatel, powinien być człowiekiem niezależnym i odpowiedzialnym. Nic dziwnego, że owa idea nawet nie zaświta dzisiejszym idealistom.

Niestety, ideały są w naszym społeczeństwie jeszcze bardziej chore niż rzeczywistość. Dawni torysi z naciskiem podkreślali, że zwykłych ludzi należy uczyć szacunku dla prywatnej własności, bo inaczej podniosą bunt i obrabują bogatych. W rzeczywistości to bogatych ludzi należy uczyć, że istnieje coś takiego, jak cudza, prywatna własność – więcej nawet, że istnieje coś takiego, jak cudza prywatność. Zwykli ludzie nie napadają na posiadłości bogaczy, żeby zabrać ich dzieci z wózków czy wywlec je przemocą z elitarnych szkół. To filantropi i dobroczyńcy, pod takim czy innym pretekstem, robią najazdy na prywatne terytoria zwykłych ludzi. Nazywają to reformami, podczas gdy w istocie jest to rewolucja.

Współcześni autorzy bardzo chętnie porównują wydarzenia historyczne do pospolitych przestępstw, aby tym dobitniej je potępić. Twierdzą, że wojna światowa była jednym wielkim morderstwem, albo że rewolucja w Rosji była złodziejstwem na masową skalę. Nie zdają sobie jednak sprawy, że współczesne reformy edukacyjne i filantropia głoszona przez obrońców

dzieci, to pod wieloma względami jeden wielki kidnaping na masową skalę. Coraz wyraźniej narasta lekceważenie prywatności obywateli będących rodzicami. Porównałem to do rewolucji, i w rzeczy samej jest to rewolucja bolszewicka. Czy istnieje bowiem na świecie czystszy i doskonalszy przejaw komunizmu, niż powiedzenie, że wszystkie dzieci są nasze? Ciekawe jednak, że bogaty komunista, który tak właśnie traktuje cudze dzieci, nie jest nazywany kidnapierem.

Komunizm bowiem, przynajmniej w wersji, jaką znamy, nigdy nie był ustrojem biedoty. Nie był nawet anarchią biedoty. Komunizm stanowi po prostu jedną z form, w jakich przejawia się istniejąca anarchia bogaczy.



SZPARAG

Dzisiaj po południu, około godziny drugiej dwadzieścia jeden, odkryłem, że szparag to sekret arystokracji. Usiłowalem włożyć do ust długie, wiotkie, szparagowe pędy, kiedy znienacka przysła mi do głowy pewna myśl. Skutek był taki, że myśl trafiła we właściwe miejsce, ale szparagi nie.

Dla arystokracji jest niesłuchanie ważne, żeby wyprzedzać własne czasy. Inaczej mówiąc, zawsze musi istnieć coś nowego, znanego tylko nielicznym. Musi być hasło dostępu, i trzeba je często zmieniać. Co więcej, hasło musi być zupełnie irracjonalne, bo inaczej ktoś je rozszyfruje, nawet nie będąc wtajemniczony. Z tego właśnie powodu jest sprawą elementarną, żeby każdy towarzyski ceremoniał na pewnym szczeblu społecznym był, w tym przynajmniej znaczeniu, sztucznie wydumany. Chodzi o to, by człowiek mógł go poznać tylko tak, jak żołnierz pozna hasło: bo ktoś mu powiedział.

Roboczy przykład, najlepiej znany nam, przedstawicielom klasy średniej, to sposób jedzenia szparaga. Naprawdę trudno o coś, co mniej by się nadawało do jedzenia palcami niż szparag.

Jest długi, oślizgły, wiotki i podatny na wszelkie nagłe, małe katastrofy. Podaje się go zawsze w jakimś oleistym sosie, a żeby wymusić na nim w miarę estetyczne sprawowanie trzeba mieć talent zawodowego żonglera, połączony z wieloletnią praktyką we wspinaniu się na natłuszczony słup podczas wiejskich zabaw. Większość tego, co jadalne daje się bez trudu jadać palcami; weźmy taką chociażby wołowinę na zimno, frytki albo ser. Mimo to, oczekuje się od nas, że będziemy się do tego zbliżać uzbrojeni w miniaturowy mieczyk i karłowaty trójząb. Wyłącznie to jedno irytujące, wyslizgujące się warzywo mamy trzymać między kciukiem a palcem wskazującym. Wygodniej by już było zostać żyrafą i obgryzać czubek palmy; on przynajmniej nie wymaga przytrzymywania. Szparag nie jest czymś, co na zdrowy rozum nadaje się do jedzenia bez pomocy sztuców. Inaczej mówiąc, przyjęty sposób jedzenia szparaga nie może zostać wydedukowany w drodze logicznego rozumowania, nie jest też ani trochę intuicyjny. Coś takiego nie mogło powstać jako zwyczaj – i dlatego powstało jako etykieta.

Ludzkie braterstwo to fakt, przy którym na dłuższą metę blakną wszystkie inne fakty. Toteż warstwa uprzywilejowana – aby naturalną kolejną rzeczy nie osunąć się z powrotem w dół, ku głównej masie ludzkości – musi podtrzymywać bezustanną ekscytację nowymi zadaniami, nowymi kulturami, nowymi uprzedzeniami, nowymi trendami. Jest niczym Szeherezada: musi codziennie opowiadać nową historię, bo inaczej zginie. W ten właśnie sposób, z luksusów, marnotrawstwa i znudzenia,

wzięła się gorączka zmian, nazywana postępem, i opanowała świat jak zaraza.

Mówicie, że już nie jada się szparagów palcami? Czyżbym nie wiedział, że w bogatych domach zaczęły do tego celu służyć malutkie, przeurocze szczypczyki? Czy naprawdę nie obito mi się o uszy, że szparag należy opuścić w głąb rozwartej jamy ustnej na specjalnej nici, albo wstrzelić za pomocą specjalnego pistoletu, albo jadać za pomocą palców u stóp, albo nie jadać absolutnie nigdy? Nie, nic o tym nie wiem – i tu leży sedno sprawy. To jest właśnie mechanizm, który chciałem pokazać. Widzicie? Zmienili hasło.



O PRZEMIJANIU

Jedną z osobliwych zagadek współczesnej polityki można by ująć tak: kiedy władza była dożywotnia, zawsze jej przypominano, że jest przemijająca, lecz kiedy władza z założenia jest przemijająca, traktuje się ją, jakby była dożywotnia. W czasach, gdy król naprawdę mógł skrócić każdego o głowę, słyszał co i rusz od mędrców i wizjonerów, że jego własne życie też będzie krótkie. Kiedy istnieli autentyczni despotci, mający nad ludźmi władzę życia i śmierci, istnieli też autentyczni poeci i satyrycy, mówiący despotom, że ich życie też skończy się śmiercią. Lecz nikt tego nie mówi, odkąd w państwie zwyciężył ustrój zwany liberalną demokracją. Nikt jeszcze nie wytłumaczył autentycznie przemijającemu władcy, że jest przemijający, ba, nawet że jest przejściowy.

A przecież od zarania dziejów, i omalże jeszcze wcześniej, wciąż powtarzało się to ostrzeżenie przed powabem doczesnej potęgi. Egipscy faraonowie podczas uczty kazali sadzać na zaszczytnym miejscu szkielet. Rzymski zdobywca w godzinie swego tryumfu miał niewolnika, który stał za nim na

rydwanie, szepcząc mu do ucha: „Pamiętaj, że jesteś śmiertelny”. Średniowieczny normañski król Sycylii, jak podaje opowieść, przypomniał sobie podczas niesporów, że Bóg złożył wyniosłych z tronów i znikczemnił wielmożne. Książęta u schyłku średniowiecza niejednemu raz bawili się pod freskami i mozaikami, przedstawiającymi Taniec Śmierci, podczas którego nędzny kościotrup bezceremonialnie pakował królów do worka i unosił ze sobą. Przez cztery tysiące lat naszej znanej historii, w Europie, czy to pogańskiej, czy chrześcijańskiej, gdzieś w tle ciągle pobrzmiwała ta subtelnie wywrotowa, żałobna pieśń:

*Świetności rodu, stanu blaski –
To tylko cieni gra myląca;
Próżne są ludzkie wynalazki,
Śmierć zimną dłonią królów strąca,
Nie jest ostoną
Berło z koroną
I gdy upadnie w grób, oznacza
Tyle co nędzny pług oracza¹.*

Kapelani dworscy wielkiego francuskiego monarchy prawili kazania Królowi Słońce, mówiąc mu, że nawet jego słońce kiedyś zajdzie. A potem, w XIX wieku, nastąpiła radykalna, niepojęta

¹ Początek wiersza Jamesa Shirleya (1596-1666) w przekładzie Stanisława Barańczaka (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

zmiana. Ni stąd, ni zowąd zaroilo się od ludzi, którzy wypowiadali się, jakby to im jednym było dane żyć o nieskończonym wschodzie słońca.

Nikt już nie traktuje polityków w taki sposób. Nikt nie upiera się, że szkielet koniecznie musi siedzieć przy głównym stole, po prawej ręce burmistrza Londynu, podczas obiadu na cześć premiera Anglii. Nikt nie proponuje, żeby mistrz ceremonii – kiedy już uciszy zgromadzonych i zapowie przemówienie szlachetnie urodzonego lorda Bundlebury, rycerza Orderu Podwiązki, kawalera Orderu Świętego Michała – nachylił się do ucha tego znamienitego męża stanu i sycząco, dobitnie wyszeptał: „Pamiętaj, że jesteś śmiertelny”. Cała tradycja tej prawdy znikła, jakby ją wymiotło. Żaden artysta nie pokrywa ścian freskami, ukazującymi Śmierć, która chwyta wierzgających ministrów i pakuje ich do worka. Żaden poeta nie pisze żałobnej ody do wielkich magnatów prasowych, nawet tych noszących tytuły szlacheckie:

*Świetności newsów, blask sensacji –
To tylko cieni gra myląca;
Pośród krzykliwych rewelacji
Śmierć zimną dłonią was postrąca.*

Gdy nastał wiek XIX, pojawiło się nowe, sprzeczne z naturą nastawienie. Ludzie zaczęli z wielkim optymizmem patrzeć na trwałość ziemskich mód, czy to politycznych, czy nawet

światopoglądowych. Szekspir, żyjący pod rządami Tudorów, którzy mogli zabić (i zabijali) każdego, kogo im się żywnie podobало, umiał pisać ze spokojnym dystansem o człowieku, który „ustrojony w przemijającą i niewielką władzę, zapominając o tym, co jedynie wie bez wątplenia – o swym kruchym losie – jak rozwścieczona małpa takie harce wyprawia, stojąc przed obliczem Niebios, że aniołowie płaczą”². Nowoczesny polityk, który wchodzi do rządu w drodze wyborów, jest w teorii ustrojony w jeszcze mniejszą władzę, i Bóg świadkiem, wyprawia fantastyczne harce, nad którymi aniołowie nie tylko płaczą, ale pewnie trzymają się za boki ze śmiechu. A jednak ani jeden poeta czy dramaturg w ciągu ostatnich stu lat nie pisał w taki sposób o żadnym polityku. Nikt nie informował popularnego premiera, że i on prędzej czy później odejdzie, nawet jeśli miał odejść już za miesiąc. Nikt nie powiadamiał polityków, że staną się pokarmem dla robactwa, nawet jeśli różnicę między politykami a robactwem trudno było dostrzec gołym okiem. Dziwne, ale ten długi literacki lament, ten protest przeciw możliwym tego świata, który ciągnął się przez całe wieki i obejmował tysiące utworów, od *Magnificat* aż po *Podróżę Guliwera*, skończył się jak nożem uciął, gdy tylko nastąpiła epoka władzy parlamentarnej, z założenia będącej władzą ludu. I choć na przedwyborczych mityngach pada całe mnóstwo pytań, mocno wątpię, aby

² William Szekspir, *Miarka za miarkę*, przekład Macieja Słomczyńskiego.

kiedykolwiek z tylnego rzędu podniósł się jakiś człowiek o poważnym, melancholijnym obliczu i powiedział: „Panie przewodniczący, chciałbym zapytać kandydata na posła, czy przyszło mu kiedyś do głowy, że pewnego dnia umrze”.

Wszystko to, obawiam się, brzmi dziwacznie w nowoczesnych uszach, a już szczególnie w uszach posłów, które często są aż nazbyt podobne do uszu osłów. Ja jednak naprawdę myślałem, że ta właśnie sprawa ma zasadnicze znaczenie, jeśli chcemy znaleźć przyczyny zła, które zniszczyło parlament jako instytucję obywatelską. Poczucie, że ludzie są braćmi zrównywanymi przez śmierć, zanikło doszczętnie, odkąd świat zaczął głosić kazania o braterstwie i równości. Każde wybory do parlamentu są za to traktowane jak Dzień Sądu Ostatecznego, a każdy eksperyment społeczny jak Nowy Porządek Świata. Uczy się ludzi, że mają patrzeć wyłącznie w świetlaną przyszłość, chociaż ta przyszłość nie do nich już będzie należeć. Oducza się ich patrzenia w przeszłość, bo przeszłość stanowi jedno wielkie świadectwo, że wszystko przemija.



O BEZWSTYDZIE

Są na świecie ludzie, którzy bardzo lubią wiejskie gwary, systematycznie dziś niszczone przez państwową edukację. Są ludzie, którzy wolą te gwary od miejskiego slangu, systematycznie dziś szerzonego. Tak bowiem wygląda efekt, który państwowe szkolnictwo znakomicie osiągnęło w praktyce: wiejskie dzieci nie mówią już jak ciemni wieśniacy z Sussex czy Suffolk, ale jak oświeceni chuligani ze slumsów wielkich miast. Garstka ekscentrycznych reakjonistów, spoglądających na ten proces ze smutkiem, niejednokrotnie zauważała, że wiąże się z nim inny proces, i to dość osobliwy. Pewien mój przyjaciel, pastor anglikański, powiedział mi, że obserwuje u dzieci nie tylko zanik prawidłowej artykulacji, ale też zanik percepcji. „Nie dość, że nie umięją dobrze wymówić słowa, to w dodatku nie słyszą nawet różnicy między wymową dobrą a złą” – tak to ujął.

Krótko mówiąc, rozwija się coś nowego, co nie polega jednak na wyodrębnianiu czy różnicowaniu, a przeciwnie, na zetracie umiejętności, pozwalającej dostrzec, że jakaś odrębność w ogóle istnieje. Jest to nagłe stępienie zdolności do

wychwytywania różnic; specyficzny zanik postrzegania, słuchowego, ale też wzrokowego; nie tylko ujednolicenie mowy, ale też stępienie wrażliwości, gdy chodzi o odbiór mowy innych ludzi. I chociaż samo w sobie jest to zjawisko stosunkowo błahe, to można je uznać za symbol dzisiejszych problemów społecznych.

Na przykład, kiedy słusznie lub niesłusznie zanika jakiś kolejny element dawnego poczucia przyzwoitości, uznaje się za normalne, że ludzie są odtąd nieprzyzwoici w sposób tak samo nudny, jak kiedyś byli przyzwoici. Twierdzenie, że wnuki „szybko przyzwyczajają się” do czegoś, o co ich pradziadowie toczyli śmiertelne pojedynki, sugeruje, że wnuki znalazły nowy, lepszy sposób na życie, zamiast ginąć na wzór swych pradziadów, którzy, bądź co bądź, już dawno są martwi. Od strony psychologicznej fakty są jednak zupełnie inne. Ludzie, którzy toczyli pojedynki, mogli być przewrażliwieni czy wręcz ekscentryczni, ale byli żywi, naprawdę żywi. Dlatego właśnie ginęli. Ich wrażliwość była autentyczna i intensywna, gdyż umieli czuć coś, czego ich wnuki już nie odczuwają – różnicę między jedną rzeczą a drugą. To bystrzejsze, nie zaś zmęczone oczy dostrzegą, że kolor niebieski nie jest bynajmniej taki sam jak zielony. Daltonista zobaczy te kolory jako jedną i tę samą szarość. To ostrzejszy, nie zaś przytępiony słuch, odbierze w mowie subtelną różnicę między naiwnością a ironią lub między ironią a zniewagą. Dla mniej subtelnego ucha wszystkie intonacje zabrzmiają jednakowo, a przez to monotonne. Mało kto pojmuje, że taki zanik

różnicowania dokładnie odpowiada obecnej stępionej i zobojętniałej anarchii w dziedzinie moralności i manier. A zatem, niechaj współczesna dziewczyna nie szczyci się, że jej prababka byłaby zaszokowana tym, co ona uważa za normalne. Może to oznaczać, że jej prababka była istotą pełną życia i wrażliwości, podczas gdy ona jest moralną paralityczką.

Ciągle na przykład słyszymy z ust tych bardzo prozaicznych paralityków, którzy nazywają się nudystami, że ludzie „szybko się przyzwyczajają”, kiedy raz zejść do poziomu zwierząt. Wcale w to nie wątpię. Przyzwyczajają się też do pijaństwa i narkotyków, do pobytu w więzieniu albo do mówienia wulgarnym slangiem zamiast językiem literackim. Żadne argumenty nie potrafią jednak dowieść, że lepiej jest przyzwyczaić się do niższego poziomu i zatracić wyższy. Mimo to, na setki różnych sposobów, najnowsze prawa dławią instynkty ludzi prostych, którzy są wprawdzie naiwni, lecz przecież bardzo rozsądni. Powinniśmy zadać sobie pytanie, czy stępienie wrażliwości naprawdę stanowi zwycięstwo ludzkiej kultury, czy może raczej klęskę. Nie chodzi o to, że miliony dzieci, żyjących w porozrzucanych po kraju wioskach i mówiących odmiennymi dialektami, przyswajają sobie jeden i ten sam dialekt londyńskiej dzielnicy robotniczej. Rzecz w tym, czy dialekt londyńskiej dzielnicy robotniczej jest rzeczywiście lepszy od innych. Rzecz w tym, czy rzeczywiście dobrze się dzieje, że dzieci zatracają wycucie różnic między dialektami.

Ostatecznie bowiem wiemy, że człowiek jest człowiekiem właśnie dlatego, że posiada te dziwaczne wymysły – moralność

i manieri, od których wolnomyślicielski pstrąg jest całkowicie wyzwolony, i które nigdy nie komplikują życia tolerancyjnemu burakowi. Utrata odrazy do jednej rzeczy, a szacunku dla innej oznacza cofnięcie się do stanu wegetacji lub obrócenie się w pierwotny proch. A jednak już od kilkudziesięciu lat ten właśnie kierunek jest szerzony w niemal całej naszej kulturze. Dyskusje na tematy obyczajowe zawsze wychodzą z cichego założenia, że kiedy już przyzwyczaimy się do chamstwa, będziemy zupełnie zadowoleni, stając się chamami. Nie twierdzę, że wszystkie rezultaty tego kierunku były złe, twierdzę jednak, że założenie jest złe od początku do końca. Człowiek może się bowiem przyzwyczać do bycia dzikusiem lub niewolnikiem, ale to wcale nie znaczy, że nie jest lepiej być obywatelem.



WIĘCEJ ŚWIATŁA!

Świętej pamięci lord Sherbrooke, znany uprzednio jako Robert Lowe¹, desperacko opierał się temu, co uważał za tryumf Ludu. Wreszcie, rejterując w okopy Edukacji, stwierdził ponuro: „Musimy zacząć kształcić naszych władców”.

Miał rację. Sam nie wiedział, jak bardzo ma rację. Nawet się nie domyślał, kim będą nasi władcy, ani jak kompletnie okazą się ciemni, a już zupełnie nie przypuszczał, jak trudno będzie ich kształcić. Nie przewidział, że aż do tego stopnia znajdziemy się pod ich władzą.

Pocziwiec Lowe w swej przedziwnej naiwności sądził bowiem, że ludzie, którym należy nieść kaganek oświaty, to ludzie z niższych warstw społecznych. Dobrze rozumiał, że on sam lub jemu podobni bez najmniejszego trudu mogą oświecać ubogich. Zakładał oczywiście, że ci, którzy zajmą się edukowaniem innych, sami będą solidnie wyedukowani;

¹ Robert Lowe (1811-1892) – wpływowy polityk epoki wiktoriańskiej, który otrzymał tytuł wicehrabiego Sherbrooke.

nie przyszło mu do głowy, że ten roztropny wymóg zostanie uznany za zbędny. Przyjmując jednak, że istnieje realna wiedza, którą można przekazać, samo jej przekazywanie to doprawdy żaden problem. Życie niezamożnego człowieka jest i tak uregulowane pod każdym możliwym względem. Jego dom nie należy do niego; nie ma władzy nad swoimi dziećmi; jego zwyczaje, zdrowie i rozrywki w coraz większym stopniu są zależne od widzimisię pracodawców. Można przymusowo ustawić ubogie dzieci w szereg i napełniać ich głowy informacjami z równą łatwością, jak napełnia się miski zupą w kuchni opieki społecznej. Jedyny problem, to czy nauczyciel sam posiada wiedzę, zwłaszcza najważniejszy jej rodzaj, czyli wiedzę o tym, co warto wiedzieć. Jeśli ktoś naprawdę rozumie odpowiedź, jaką Arystoteles dał anarchistom, może to przekazać dzieciom. Jeśli ktoś rozumie tylko poemat ku czci Imperium Brytyjskiego, może dać dzieciom tylko to; i tak też się zwykle dzieje. W każdym razie dzieci otrzymają taką jedynie oświatę, jaką władza zechce im dać, a rodzice nie mają tu nic do powiedzenia, bo z punktu widzenia władzy oni też są jak dzieci. Zaiste, nauczanie zwykłych, niezamożnych ludzi nie sprawia władzy najmniejszych zgoła trudności.

Któż jednak oświeci bogatych? Któż odważy się stawić czoła tej wybornej, tej nadludzkiej, tej kosmicznej ignorancji bogatych ludzi, kontrolujących dziś dosłownie wszystko? Jak mamy zacząć, choćby zacząć, kształcić naszych władców?

Milionerzy nie ustawią się przecież rządkiem, żeby napędzić ich głowy elementarną arytmetyką, logiką czy ekonomią polityczną. Kiedy zadzwieczy dzwonek na lekcję, właściciele międzynarodowych firm nie przybiegną do klasy, żeby przyswoić sobie garść podstawowych faktów z dziedziny historii czy geografii. Nie wyślemy inspektora z wydziału oświaty do człowieka, który gdzieś za kulisami wyznacza ministrów i układa listy wyborcze, aby przepytąć go, czy zna choć pierwsze rozdziały z dziejów własnego kraju. Nie zmusimy właściciela wpływowej gazety, która może jutro doprowadzić ten kraj do katastrofalnej wojny albo zmusić do haniebnego pokoju, żeby wypełnił (a raczej spróbował wypełnić) test egzaminacyjny dostosowany do poziomu wiedzy dwunastolatka. Nie możemy nawet zagadnąć dziennikarza z plotkarskiego pisma, czy w swoim absurdalnym światku blichtru i wyższych sfer umiałby wskazać tych, którzy naprawdę coś sobą reprezentują, albo odróżnić arystokratę od snobistycznego nuworysza, który nazwisko Cohen zmienił na Fitzherbert. Ci ludzie nie znają się dobrze nawet na tandecie, którą sprzedają. O wielkich, historycznych doświadczeniach, wyznaczających postęp ludzkości, nie wiedzą nic kompletnie.

Mamy w świecie politycznym niemało ideologów opętanych ideą przymusowej edukacji. Oznajmiamą oni zimno, że edukacja jest ważniejsza od ekonomii, że dzieci muszą chodzić do szkoły, nawet jeśli chodzą głodne, że muszą

mieć lekcje, których nie lubią, choćby nie miały posiłków, które lubią. A może by tak któryś z nich zajął się dla odmiany tym nagłym i groźnym problemem? Może by wymyślił, jak by tu zanieść oświatę naszym dzisiejszym jaśnie oświeconym?



HISTORIE ALTERNATYWNE

Wdałem się ostatnio w dyskusję ze znakomitym nowoczesnym pisarzem, panem Middletonem Murry¹, na temat książki, którą pan Murry napisał o komunizmie. Jeśli o tym wspominam, to wyłącznie z jednego powodu. Mianowicie, w toku dyskusji niespodzianie odkryłem, że moje argumenty tak naprawdę nie są skierowane przeciw komunizmowi, ale przeciw fatalizmowi.

Owszem, jestem przeciwnikiem komunizmu. Wcale nie dlatego, że komunizm zniszczyłby istniejący system komercyjno-kapitalistyczny. Ten system, moim zdaniem, niszczy się sam i nie potrzebuje do tego czyjejkolwiek pomocy. Jestem przeciwnikiem komunizmu, bo myślę, że aby zaprowadzić komunizm, należy poświęcić wolność. Ciekawe, że sam pan Murry wprost to przyznaje. On również twierdzi, że trzeba poświęcić wolność, aby zaprowadzić komunizm. Do tego punktu łączy nas

¹ John Middleton Murry (1889-1957) – pisarz angielski, autor kilkudziesięciu książek, marksista i pacyfista.

zatem z panem Murry doskonała zgoda; nie powierzchowna zgoda dla celów praktycznych, ale zgoda prawdziwa, dotycząca teorii. Dalej jednak nasze poglądy radykalnie się rozchodzą, co zaczyna się od starożytnej kwestii przeznaczenia, czy też, jak pan Murry woli to nazywać, konieczności dziejowej.

Nie będę tu po raz kolejny poruszał kwestii losu i wolnej woli; uchowaj Boże, abym znów się zapuszczał w te udeptane labirynty. Z całą pewnością mam *poczucie*, że mogę w każdej chwili odłożyć pióro i porzucić ten esej raz na zawsze, jeśli tylko zechcę. Nie da się dowieść, że to poczucie jest złudzeniem, chyba że użyjemy wszechogarniającego sceptycyzmu, który pozwala równie dobrze uznać, że los jest złudzeniem, albo że złudzeniem jest nawet prawo. Determiniści z czasów mojej młodości, owi przeciwnicy wolnej woli, chętnie pysznili się, że stoi za nimi powaga nauki, bo jacyś naukowcy opowiadali wtedy o determinizmie materii. Nie wiem, co determiniści głoszą dzisiaj, kiedy niejeden naukowiec opowiada raczej o indeterminizmie materii. Tak czy owak idea, że sami dokonujemy wyborów, jest ideą absolutną, i nikt nie zdoła funkcjonować tak, jakby jej nie było.

„Konieczność dziejowa” zawiera jednak element, który szczególnie mnie intryguje. Wygląda na to, że wielu ludzi, mających zapewne poczucie swobodnych wyborów dokonywanych w teraźniejszości i planowanych w przyszłości, patrzy z głębokim fatalizmem na wybory dokonywane w przeszłości. Pan Middleton Murry powtarza co i rusz, że wszystko, co miało

kiedyś miejsce było „konieczne”. Uważa najwidoczniej, że zdania wykazały swoją konieczność przez sam fakt, że się zdarzyły. Ja jednak nie mam takiego odczucia wobec czasów minionych, dokładnie tak samo, jak nie mam go wobec czasów przyszłych. Zgoda, istnieje coś takiego jak konieczność, w sensie konieczności logicznej. Skoro ja ważę więcej niż pan Murry, pan Murry siłą rzeczy waży mniej ode mnie, i nie ma na to rady. Jeżeli sto centymetrów to metr, dwieście centymetrów nieuchronnie musi dawać dwa metry. Wcale jednak nie uważam, że na pewnym etapie życia nieuchronnie musiałem ze studenta malarstwa przeistoczyć się w dziennikarza, ani że pan Murry nieuchronnie musiał zostać zwolennikiem bolszewizmu, ani że sam w ogóle bolszewizm nieuchronnie musiał się pojawić. W każdym wydarzeniu dziejowym jest pewien dreszcz niepewności, jest suspens, płynący z ludzkich wyborów. Tak to czuję, i nie widzę najmniejszego powodu, żeby uznać moje poczucie za mniej racjonalne niż poczucie pana Murry, bo przecież jego fatalizm też jest pewnie poczuciem i niczym więcej.

Pan Murry to pisarz błyskotliwy i pomysłowy, więc mam mu za złe, że ilekroć próbuje wesprzeć argumentami swój fatalistyczny, materialistyczny światopogląd, którego konsekwencją jest negowanie cudów, ja czuję się zawiedziony jako czytelnik. I to jest moja główna pretensja do niego. W jednej z jego książek, pamiętam, zostałem porwany na wyżyny bardzo podniosłych rozważań – i nagle spadłem z hukiem, kiedy pan Murry oznajmił, ni mniej ni więcej, że nie potrafi w coś uwierzyć,

ponieważ jest „człowiekiem XX wieku”. Tak, wiem, są ludzie, którzy tak mówią, ale nie sądziłem, że i on do nich należy. Myślałem, że bujam sobie wysoko pośród chmur, tocząc dysputę z Arystotelesem i Abelardem, z Buddą i Spinozą, z Pitagorasem i Konfucjuszem, aż tu znenacka brutalnie sprowadzono mnie na ziemię, a kiedy wylądowałem, poobijany tu i ówdzie przy spadaniu, znalazłem się twarzą w twarz z filozofem, który utożsamia się wyłącznie z numerem porządkowym, przypisanym do swojego stulecia. Czy ktoś potrafi sobie wyobrazić Spinozę reklamującego swój kosmos jako szczególnie odpowiedni dla XVII wieku?

Jedną z wiktoriańskich konwencji intelektualnych było przekonanie, że wszystko zmierza ku lepszemu, a przynajmniej jest takie, jakie być powinno. Wiktorianie jednomyślnie uznawali, że Wilhelm Zdobywca musiał zdobyć Anglię, że Wellington musiał pokonać Napoleona, że Kanada musiała pozostać związana z Anglią, zaś Ameryka musiała się od Anglii oderwać. Myślę, że mechaniczny optymizm Marksa i pojęcie „konieczności dziejowej” u modernistów w rodzaju pana Murry mają swoje źródło w tej właśnie optymistycznej konwencji.

Lecz dla mnie przeszłość jest żywa i tętni od alternatyw; i nikt nie dowiódł, nikt nawet nie próbował dowieść, że te alternatywy nie były realne. Całkiem możliwe, że gdyby król Harold o tydzień wcześniej rozpoczął kampanię na północy, południowa kampania Wilhelma Zdobywcy okazałaby się spóźniona i nieskuteczna; że gdyby Napoleon, po chwili wahania,

zdecydował się rzucić do walki Starą Gwardię pod Borodino, nigdy nie doszłoby do Moskwy ani do Waterloo; że był czas, kiedy parę mądrych słów mogło ocalić dla Anglii amerykańskie kolonie, a parę głupich słów spowodować utratę Kanady; i tak dalej. Krótko mówiąc, wierzę, że człowiek raz za razem stawał na rozstaju dróg, i mógł być wybrać inne drogi. Od strony metafizycznej nie można tej tezy ani dowieść, ani obalić. Ja jednak z ukontentowaniem wyznaję filozofię, która zezwala od czasu do czasu na cud, a tym bardziej mnie to cieszy, że alternatywna filozofia nie zezwala nawet na alternatywę. Determinizm zabrania człowiekowi bodaj pomarzyć o czymś tak naturalnym jak historyczne „Co by było, gdyby...”.

Stosunek do tych dziejowych alternatyw stanowi sprawdzian ludzkiej kultury i otwartości myślenia, szczególnie u zawodowego historyka. Wszystko, co nie zaistniało, poszerza nasze umysłowe horyzonty. Rozmaicie mogła się potoczyć alternatywna historia Anglii, Francji czy Rzymu. Człowiek o zaściankowej mentalności, choćby był profesorem, żyje w więzieniu tego, co zdarzyło się naprawdę. Na ten akurat temat może posiadać imponującą wiedzę, lecz skutek swej ignoranckiej, pożałowania godnej ciemnoty, dotyczącej tego, co nie zdarzyło się nigdy, przy całej swej wiedzy pozostanie równie uczony, jak ograniczony.

Kiedy słyszymy, powiedzmy, dyskusję, w której padają argumenty za albo przeciw średniowieczu, każdy, kto odrobinę zna ten okres, widzi pewien ewidentny fakt, który sam w sobie nie jest ani za, ani przeciw. Mianowicie, o mało wtedy nie

doszło do powstania jednego państwa pod wspólną koroną – Zjednoczonego Królestwa Anglii i Francji. Pomiędzy chwilą, gdy pierwszy normański żołnierz wylądował na angielskiej ziemi nieopodal Hastings, a chwilą, gdy ostatni angielski żołnierz wymaszerował z Calais, tysiącom ludzi wydawało się najzupełniej naturalne, że te dwa narody mogą zrosnąć się w jeden naród. W naszych czasach Anglicy i Francuzi są chyba mniej do siebie podobni niż dwa dowolne inne narody na świecie. Ba, patrząc na większość angielskich internacjonalistów, można odnieść wrażenie, że internacjonalizm w ich pojęciu to obowiązek miłowania ludzkości i nienawidzenia Francji. Ja jednak, nie będąc (chwała Bogu) internacjonalistą, bardzo lubię i Francję, i Francuzów. Potrafię miłować cudzoziemców, zaś Francuzów miłuję jako najbardziej cudzoziemskich z nich wszystkich. A przecież wykształceni Anglicy, co do jednego, mówili i myśleli po francusku niemal do czasu bitwy pod Agincourt. Zresztą i po tej bitwie całe rzesze mieszkańców Francji wspierały angielską próbę zjednoczenia obu królestw drogą podboju, mimo że budził się już wtedy inny duch, bez wątpienia lepszy; duch świętej Joanny, wznoszący się jak ognisty miecz. I choć był to miecz aniołów, nieodwołalnie przeciął nas na pół. Co do mnie, jestem narodowym patriotą i cieszę się, że narodziły się wówczas dwa odrębne narody. Lecz abstrahując od patriotyzmu, tylko ktoś ograniczony nie rozumie, że mogło się wtedy narodzić coś potężniejszego i bardziej imperialnego – wielkie zachodnie państwo, nie bardziej francuskie niż angielskie, nie bardziej

angielskie niż francuskie. Istnienie takiego państwa spowodowałoby ogromne i różnorakie zmiany w późniejszych dziejach ludzkości. Bóg jeden wie, co byłoby z purytanami, rewolucją francuską, Imperium Brytyjskim i całą masą rzeczy, którym dziś oddajemy uroczysty hołd, ponieważ przypadkiem zdołały się urzeczywistnić. Dobrze jest od czasu do czasu odwrócić się od nich i posłuchać fascynującej, przeszywającej dreszczem opowieści o czymś, co nie urzeczywistniło się nigdy.

Oczywiście znalazłoby się multum innych przykładów, ale o to mi właśnie chodzi, żeby unikać oczywistości. Łatwo pytać, co by się stało, gdyby bitwa pod Waterloo zakończyła się inaczej; łatwo pytać, ponieważ nie ma sensu odpowiadać. Nic specjalnego by się nie stało. Napoleon i tak nie miał wystarczających sił, by skruszyć wszystko, co wówczas stanęło przeciw niemu. O wiele ciekawsze pytanie brzmi, co by się stało, gdyby bitwa pod Wattignies² zakończyła się inaczej. I właśnie dlatego zwykły Anglik, który chętnie oddaje się gdybaniom o Waterloo, zazwyczaj nie słyszał nawet o Wattignies.

Wszystkie te refleksje mają związek z obecnym sporem ideowym, czyli bezustanną dziennikarską dyskusją, podczas której z jednej strony słyszymy o postępie, a z drugiej strony o dekadencji albo zmierzchu cywilizacji zachodniej. Inaczej mówiąc,

² Pod Wattignies w 1793 roku armia rewolucyjnej Francji pokonała armię Habsburgów. Bitwa rozstrzygnęła o losach rewolucji francuskiej; gdyby Francja przegrała, rewolucja zostałaby zdławiona; nie doszłoby też do wojen napoleońskich.

jedna grupa dziennikarzy i popularnych literatów powtarza, że świat zawsze stawał się stopniowo coraz lepszy; druga, do której należą literaci nie tak popularni, mówi, że od pewnego czasu świat staje się stopniowo coraz gorszy.

Osobiście nie pojmuję, jak ktoś może myśleć, że świat staje się stopniowo jakikolwiek. Skoro renesansowy humanizm w XVI wieku oznaczał postęp, jakim cudem kalwinizm w XVII wieku mógł oznaczać postęp w stosunku do tego postępu? Jeśli zakładamy, że tłumy ludzi podążających radośnie do amfiteatru idą w jedyną dobrą stronę, to przecież pustelnicy podążający ku dzikim pustkowiom nie mogą iść w tym samym kierunku. Podczas całego sporu obie strony zazwyczaj porównują jakąś dawną ideę z jakąś nową ideą, albo mityczne stare dobre czasy z hipotetyczną świetlaną przyszłością. Mam całkiem inne wrażenie, spoglądając na historię. Wydaje mi się, że w większości przypadków to, co naprawdę dobre nie było ani władzą, ani rebelią przeciw władzy. Było czymś trzecim, co nigdy nie miało dość siły, żeby objąć rządy albo podnieść bunt. Idea, która gdzieś głęboko drąży naszą historyczną wyobraźnię, to nie Atlantyda czy Utopia, nie Złoty Wiek czy Nowe Jerozolimie, nie Stare Dobre Czasy i nie Świetlana Przyszłość, lecz skarby możliwości, które człowiek przeoczył kiedyś lub odrzucił, i dobre czasy, które mogły być nadejść.

Nawet jeśli świat zmierza we właściwym kierunku, myślę, że z reguły skręca na rozstajach w niewłaściwą stronę, ogromnie nadkłada drogi i nie dostrzega wielu skrótów, którymi dotarłby

szybciej. Wątpię, czy znajdzie się rozumny człowiek, który, niezależnie od swojej wiary czy niewiary, nie wolałby w głębi serca, żeby renesans oznaczał tryumf humanistów takich jak Erazm z Rotterdamu lub Tomasz Morus, a nie fanatycznych purytanów z pianą na ustach, takich jak Kalwin lub Knox. W rzeczy samej, nazwisko Morusa jest tu więcej niż stosowne. To on przecież wymyślił samo słowo „utopia”, potem zaś, kiedy nadchodzące zmiany okazały się tak niepodobne do zmian, których pragnął, nie pozwolił przetłumaczyć swojej *Utopii* na angielski. Lecz utopia nie jest czymś, co istniało u zarania dziejów ani czymś, co nastanie u ich kresu. Utopia jest czymś, co w każdych czasach istniało na wyciągnięcie ręki, ale nigdy nie zostało odkryte.

